

Jacek Koronacki: Donald Trump i polityka zagraniczna USA

W grudniowym dokumencie Białego Domu o Trójmorzu nie ma ani słowa, a o naszej części Europy można znaleźć zaledwie kilka tyleż ciepłych co niezobowiązujących słów. Ale jest przynajmniej deklaracja amerykańskiej obecności na wschodniej flance NATO pod warunkiem, że sami będziemy wystarczająco wzmacniać własne siły zbrojne – pisze Jacek Koronacki specjalnie dla Teologii Politycznej

Przełom XX i XXI wieku upływał pod znakiem sprzyjania przez amerykański establishment polityczny „życzliwej hegemonii” USA nad światem. Ten nurt myśli, głównie autorstwa tzw. neokonserwatystów – od początku postrzegany przez nielicznych jako myśl życzeniowa i dla Ameryki niekorzystna, a nie realistyczna – dominował także w politycznej praktyce USA. W 2003 roku doprowadził do nieszczęsnej inwazji na Irak.

Równolegle obecny był wśród amerykańskich politologów nurt realistyczny. Na przykład nieżyjący już, wybitny politolog Samuel Huntington, jakkolwiek w zamierzchłych czasach neokonserwatysta, zwracał w 1999 roku uwagę, iż świat staje się jednocześnie jedno- i wielo-centryczny. Pisał, że obok jedyne go dziś mocarstwa światowego, jakim są Stany Zjednoczone, mamy – niejako na niższym poziomie – niemiecko-francuskie kondominium w Europie, Rosję w Eurazji, Chiny i potencjalnie Japonię we wschodniej Azji, Indie w Azji południowej, Iran

w Azji południowo-zachodniej, Brazylię w Ameryce Łacińskiej oraz Południową Afrykę i Nigerię w Afryce. Na trzecim poziomie sytuował drugorzędne siły regionalne, których interesy pozostają często w konflikcie z interesami regionalnych mocarstw: na przykład Wielką Brytanię w jej relacji do kompleksu niemiecko-francuskiego, Ukrainę w jej relacji do Rosji, Japonię w jej relacji do Chin, Pakistan w relacji do Indii, Arabię Saudyjską w relacji do Iranu i Argentynę w relacji do Brazylii.

Huntington zdawał sobie rzecz jasna sprawę, że polityka globalna, odszedłszy od systemu dwubiegunowego w dobie zimnej wojny, znalazła się w momencie monocentryzmu z jednym potężnym „żandarmem świata” w postaci jego amerykańskiej ojczyzny. Widocznym akcentem tego monocentryzmu była pierwsza wojna w Zatoce Perskiej (1990-1991). Jednocześnie był zdania, że miejsce owego monocentryzmu powinien przez kolejne dziesięciolecia zająć jedno-wielo-centryzm, by następnie świat wszedł w prawdziwie wielocentryczny późniejszy wiek XXI.

Polityka zagraniczna Donalda Trumpa wpisuje w program polityczno-gospodarczego establishmentu, jak również służb wywiadowczych USA

Sędziwy, ale nadal najważniejszy amerykański polityczny realista, Henry Kissinger widział sytuację geopolityczną świata w okresie

bezpośrednio poprzedzającym ostatnie wybory prezydenckie w USA w ciemnych barwach. Nie sposób było znaleźć stabilny geopolityczny ład, światu raczej groziła anarchia z wieloma konfliktami regionalnymi oraz

konfliktami o globalnych konsekwencjach. Kissinger wskazywał na: pogarszające się relacje między USA i Chinami, co jest skądinąd typowe dla stosunków między zastaną i wschodzącą potęgą; głęboki kryzys w stosunkach między Zachodem i Rosją, wynikający z wzajemnego nierozumienia się; militarną słabość Europy, która zapomniała, że dyplomacja niepoparta groźbą użycia siły jest zwykłym pustostowiem; pogłębiające się konflikty na Bliskim Wschodzie, wynikłe zdaniem Kissingera z tego, że według państw arabskich i Izraela administracja Baracka Obamy poczyniła niczym nieuzasadnione ustępstwa wobec Iranu. I zalecał: uniknięcie otwartego konfliktu między USA i Chinami, czy to w sprawie handlu między obydwoma krajami, czy w sprawie dominacji na Morzu Południowo Chińskim, i zamiast konfliktu rozmowy oraz dążenie do współpracy – Kissinger, który dobrze osobiście zna prezydenta Chin Xi Jinpinga, dodawał, że to przywódca, z którym warto rozmawiać; zalecał porzucenie mrzonek o włączeniu Rosji do zachodniej wspólnoty polityczno-kulturalnej, ale zarazem prowadzenie z Rosją partnerskiego dialogu i dążenie do układów uwzględniających w zrównoważony sposób rosyjskie interesy; wykorzystanie Brexitu do namówienia UE, by porzuciła „biurokratyczną introspekcję” na rzecz przyjęcia na powrót strategicznej odpowiedzialności za swój byt; wykorzystanie cichego anty-irańskiego (anty-szyckiego) porozumienia między (sunnickimi) krajami arabskimi i Izraelem na rzecz ustanowienia pokoju na Bliskim Wschodzie pod auspicjami krajów arabskich i z uwzględnieniem interesów palestyńskich. Kissinger, inaczej niż wcześniej Huntington, chciał osłabienia Iranu i powierzenia roli lokalnego hegemonu Arabii Saudyjskiej.

Wkrótce po wyborze Donalda Trumpa na 45. Prezydenta Stanów Zjednoczonych, wybitny historyk średniego pokolenia, specjalizujący się w nowożytnej historii politycznej i gospodarczej, Niall Ferguson,

pokusił się o przedstawienie pożądanych kierunków polityki zagranicznej USA. Ferguson budował na zaleceniach Kissingera i zarazem – na ile można to było uczynić – starał się czynić swoje rady zgodnymi z wypowiedziami samego Trumpa.

Ferguson oczekiwał powstania swego rodzaju „luźnego” układu (czy osi) USA – Chiny – Rosja. Właściwie taka oś już istniała w dobie II wojny światowej. W odniesieniu do Bliskiego Wschodu zgadzał się z Henrym Kissingerem, iż okiełznania wymagają przede wszystkim – jak je nazywali – imperialne ambicje Iranu, które to państwo niesie także światu rewolucyjne przesłanie muzułmańskie i w konsekwencji wspiera organizacje terrorystyczne. W takiej sytuacji właściwy stosunek do Iranu może do pewnego stopnia być powtórką z historii, mianowicie historii zimnej wojny ze Związkiem Sowieckim, tyle że na mniejszą skalę. Porozumienie nuklearne z Iranem z roku 2015, wynegocjowane głównie przez administrację Baracka Obamy, uznali za złe, ponieważ prowadzące do zbyt łatwego zniesienia różnych sankcji ekonomicznych nałożonych na Iran i tym sposobem ułatwienie mu walki o zwiększenie wpływów w regionie.

Uwzględnienie interesów Rosji powinno między innymi zawierać zgodę na finlandyzację (swobodę polityczną i gospodarczą, ale pozostanie poza NATO) i może federalizację Ukrainy. Takie rozwiązanie nie byłoby bezpieczne dla krajów bałtyckich, ale byłoby bezpieczne dla Zachodu.

Szukanie jakiegoś modus vivendi z Chinami należy postrzegać jako konieczność. Dekada 1998 – 2007, jak to w roku 2009 opisywali Niall Ferguson i ekonomista Moritz Schularik, była dekadą „Chimeryki” – swoistego koncertu dwóch potęg, tej światowej, czyli USA, oraz tej

wschodzącej, czyli Chin. Potęga wschodząca doświadczała niesłychanie szybkiego wzrostu gospodarczego dzięki eksportowi swoich towarów do USA, zaś jedyne mocarstwo światowe cieszyło się nadmierną konsumpcją. Chiny powiększały swoje rezerwy walutowe kupując amerykańskie obligacje rządowe i w ten sposób zwiększając narodowe zadłużenie Ameryki. Utrzymywanie w owym okresie stałego kursu chińskiego juana wobec amerykańskiego dolara prowadziło do niedowartościowania juana, przyspieszało wzrost gospodarczy Chin, ale na dłuższą metę było nie do utrzymania, jeśli chciało się uniknąć jeszcze groźniejszych dla całego świata kryzysów finansowych niż ten z lat 2008 - 2009. Między innymi według Międzynarodowego Funduszu Walutowego stopniowa aprecjacja juana doprowadziła na przełomie lat 2014 – 2015 do wyeliminowania rzeczzonego niedowartościowania. Tym niemniej, wzrost gospodarczej potęgi Chin pozostanie faktem przez kolejne dekady i niektórzy nie wykluczają, że Chińczycy podejmą starania o zastąpienie dolara przez juana jako walutę światową (walutę, w której państwa przechowują swoje rezerwy). Uzasadnione jest przeto wcześniejsze ułożenie się z Chinami, także po to, by wspólnie kontrolować rozwój wypadków na półwyspie koreańskim.

Połąjanki Donalda Trumpa pod adresem Chin, które rzekomo nadal na potęgę korzystają z niedowartościowania swojej waluty w handlu z USA, można traktować jako wypowiedzi demagogiczne, mające mu przydać popularności w kraju. Ale jednocześnie Stanom Zjednoczonym na pewno chodzi o utrudnienie Chinom wzrostu ich znaczenia w regionie i uczynienia z juana waluty zagrażającej pozycji amerykańskiego dolara. I co ważniejsze, opublikowany przez Biały Dom 18 grudnia 2017 roku ważny dokument, tradycyjnie co jakiś czas określający strategiczne geopolityczne cele Ameryki, tym razem zatytułowany „Strategia bezpieczeństwa narodowego. Ameryka na pierwszym miejscu” wskazuje, że prezydent i administracja USA nie

zgodzą się na rezygnację z dominacji w obszarze Morza Południowo Chińskiego na rzecz Chin i chcą zbudować antychińskie porozumienie krajów południowej i południowo-wschodniej Azji.

Polityka zagraniczna Donalda Trumpa dobrze się dziś wpisuje w program realizowany od wielu lat przez polityczny i gospodarczy establishment, jak również służby wywiadowcze USA. Program ten ma odsunąć przejście do świata jedno-wielo-centrycznego. Jako kandydat na prezydenta, Trump opowiadał się za porozumieniem z Rosją Putina, któremu zostawiał Krym i umiejscawiał Ukrainę poza NATO. Samo NATO uważał za przeżytek. Co prawda w sierpniu 2016 przyznał, że jego wcześniejsze enuncjacje o braku zainteresowania dla utrzymania NATO były przedwczesne – mówił, że NATO, razem z Rosją, chce odgrywać istotną rolę w zwalczaniu muzułmańskiego terroryzmu i zatem jest Zachodowi potrzebne. Ale już w marcu 2017, ustami swego doradcy ds. bezpieczeństwa, gen. McMastera, który zastąpił na tym stanowisku skłonnego do porozumienia z Rosją gen. Flynna, uznawał Rosję za przeciwnika i wykluczał możliwość budowania z nią partnerskich stosunków. Obecnie prezydent Trump jest za sprzedażą Ukrainie broni defensywnej, np. pocisków przeciwczołgowych (pomijając ostatnie zdania tego artykułu nie wnikam w to co jest, a co nie jest w naszym, polskim interesie). Ale jednocześnie w grudniowym dokumencie Białego Domu o strategicznych geopolitycznych celach USA, pisanym z pozycji światowego hegemonu, znajdują się też słowa o gotowości do współpracy z Rosją – w domyśle, na warunkach dyktowanych przez hegemonu.

Jako kandydat na prezydenta, Donald Trump, miał wiele złego do powiedzenia o reżimie saudyjskim. Dziś prezydent Stanów Zjednoczonych nazywa następcę tronu Arabii Saudyjskiej, księcia

Muhammada ibn Salmana, swoim wielkim przyjacielem. Nie trzeba nikogo przekonywać, że region Zatoki Perskiej ma dla świata znaczenie przeogromne, a to za sprawą złóż ropy i gazu. I ten fakt oraz ochrona interesów Izraela leżą, ze zrozumiałych względów, u podstaw amerykańskiej polityki w tym regionie.

Neokonserwatystów nie ma już w rządzie USA, ale trwa destabilizacja sytuacji na Bliskim Wschodzie, skierowana przeciw Iranowi i jego sprzymierzeńcom

Obecna anty-irańska polityka USA, bardzo mocno potwierdzona we wspomnianym dokumencie Białego Domu z grudnia 2017, ma długą historię. Na przełomie XX i XXI

wieku, gdy neokonserwatyści dyktowali, jakie cele ma Ameryka osiągnąć na Bliskim Wschodzie i w jego afrykańskim sąsiedztwie, mówiło się o potrzebie zaatakowania i zmiany rządów w Iraku, Syrii, Libanie, Libii, Somalii, Sudanie i Iranie. W roku 2007 były sekretarz generalny NATO gen. Wesley Clark ujawnił, że Sekretarz Departamentu Obrony USA przedstawił w 2001 r. memorandum, w którym planował osiągnięcie owego celu w ciągu 5 lat. W maju 2007 prezydent Bush junior zaaprobował działania CIA skierowane przeciw Iranowi. W tym samym czasie trwały już tajne działania skierowane przeciw pro-irańskiej Syrii Baszszara al-Assada, których elementem było m.in. finansowanie pomocnych w tym dziele organizacji terrorystycznych i, pośrednio, wzmacnianie Al-Kaidy mimo jej antyamerykańskiego nastawienia. Amerykańscy strategowie liczyli na przekierowanie zaangażowania sunnickich organizacji terrorystycznych w walkę z Zachodem na ich walkę z terroryzmem szyickim (który na Zachodzie nie działa, ale – jak Hezbollah – jest skierowany przeciw Izraelowi).

Neokonserwatystów nie ma już w rządzie USA, ale trwa destabilizacja sytuacji na Bliskim Wschodzie, skierowana przeciw Iranowi i jego sprzymierzeńcom. Grudniowy dokument Białego Domu nie pozostawia wątpliwości – nacisk na kapitulację Iranu będzie kontynuowany. Według wielu obserwatorów podłożem takiego nacisku jest zachowanie kontroli nad złożami ropy i gazu, a według niektórych także ochrona pozycji dolara. Iran nie tylko wspomaga Hezbollah w Libanie, ale swój eksport ropy i gazu rozlicza w euro i innych walutach, byle nie w dolarach. Co więcej, wiąże się z Rosją i Chinami mając m.in. na celu ograniczenie wpływów USA w Azji.

Z kolei, można zaryzykować twierdzenie, że niezależnie od jego zbrodni, Ameryka inaczej postrzegałaby prezydenta Assada i jego reżim, gdyby nie to, że w roku 2009 nie zgodził się na poprowadzenie przez Syrię gazociągu mającego biec z Kataru przez Arabię Saudyjską, Jordanię, Syrię i dalej przez Turcję do Europy z pominięciem Rosji. I gdyby nie rozpoczął w roku 2010 rozmów z Iranem o pociągnięciu gazociągu z Iranu przez Irak i Syrię, także z myślą o zaopatrywaniu Europy w gaz.

Ze Stanami Zjednoczonymi potrafi natomiast rozmawiać Arabia Saudyjska. W zeszłym roku dokonała zakupu amerykańskiej broni za ponad 100 miliardów dolarów i obiecała w ciągu następnych 10 lat wydać na amerykańską broń jeszcze 350 miliardów. Ponadto, 5% arabskiego państwowego koncernu naftowego Aramco ma stać się własnością publiczną, zapewne – jak tego chciałby prezydent Trump – poprzez giełdę nowojorską lub inny podmiot amerykański (te 5% wartości Aramco to koło 100 miliardów dolarów).

Wysiłki na rzecz uczynienia z Arabii Saudyjskiej przywódcy regionu sieją zamęt i destabilizują Bliski Wschód. Wysoka to cena za przedłużenie bezwzględnej dominacji USA, płacona od lat przez różne kraje i chyba na dłuższą metę nieopłacalna dla samej Ameryki. Jak pamiętamy, w 2003 roku zaczęła się wojna w Iraku. Później, gdy Muammar Kaddafi zaangażował się w panafrykańską integrację, narażając się tym sposobem Francji dbającej o swoje wpływy w Afryce, i – co gorsze dla Ameryki – zaczął myśleć o wprowadzeniu do obiegu złotego afrykańskiego dinara, który zastąpiłby dolara w libijskim handlu ropą naftową, Libia znalazła się na cenzurowanym. To, że Kaddafi był od lat lojalny wobec Ameryki mu nie pomogło. W 2011 roku Libię ogarnęła rebelia, przy czym podejrzewa się, że CIA dostarczyła niektórym rebeliantom broń i amunicję. Wojska Kaddafiego zostały przez Unię Europejską i Stany Zjednoczone fałszywie oskarżone o masowe zabijanie ludności cywilnej.

Rebelianci, wspomagani przede wszystkim przez Saudyjczyków, Katarczyków, Francję oraz samoloty NATO, pogrążyli Libię w kompletnej anarchii, a samego Kaddafiego zamordowali. Ostatnio, doskonałe stosunki łączące USA i Arabię Saudyjską pchnęły Amerykę do współudziału w zbrodni przeciw ludzkości, jaką jest wojna w Jemenie. Jemeńscy szyici giną w wyniku saudyjskich nalotów bombowych, których samoloty tankują paliwo w powietrzu korzystając z amerykańskich latających cystern. Podczas gdy jemeńskie dzieci i dorośli umierają z głodu i chorób wywołanych przez saudyjską blokadę ich kraju, w ONZ Amerykanie torpedują wysiłki na rzecz udokumentowania tych zbrodni. Jednocześnie, trzeba przyznać, w grudniu ubiegłego roku amerykańska administracja zaczęła naciskać Saudyjczyków, by pozwolili pomocy humanitarnej docierać do umierających Jemeńczyków.

Stosunek prezydenta Trumpa do Unii Europejskiej dobrze znamy i dlatego możemy tę kwestię prawie pominąć. Prawie, ponieważ warto na koniec pochylić się nad koncepcją Trójmorza. Gdy przed państwami Układu Warszawskiego otwierały się w roku 1989 całkowicie nowe perspektywy, pożądany kształt tych perspektyw był zupełnie inaczej widziany przez UE – czytaj Niemcy i Francję – oraz USA. Francja i Niemcy były jednocześnie prorosyjskie oraz chciały wzmocnienia Unii, ekonomicznie wspomagając samą Rosję oraz kraje będące do 1989 roku jej wasalami (quasi-koloniami). Ekonomiczna współpraca wewnątrz Układu Warszawskiego miała trwać nadal, kraje bloku wschodniego miały się rozwijać, dzięki pomocy ze strony UE coraz silniej wiążąc się gospodarczo z Zachodem.

Wizyta Donalda Trumpa w Polsce stworzyła cień nadziei, że prezydent USA, zniechęcony kryzysem UE, spogląda na państwa Europy Środkowo-Wschodniej jako ważny podmiot

Niemcy i Francja chciały budowy silnej Europy od Atlantyku po Ural. W tamtym okresie stara Unia nie miała w planach deindustrializacji Europy Środkowo-Wschodniej, w tym

Polski. Nie jest dziś ważne, czy był to plan realistyczny. Ważne jest, że był doskonale niezgodny z amerykańskimi planami wobec Europy. USA chciały pozostać hegemonem w Europie Zachodniej i nie chciały wzrostu jej znaczenia na geopolitycznej mapie świata. Chciały też oderwania państw Europy Środkowo-Wschodniej i w przyszłości Europy Wschodniej od Rosji i przyciągnięcia ich do Zachodu. To dlatego Ameryka chciała rozszerzenia NATO na wschód. Amerykańska

koncepcja wykluczała niestety spojrzenie na państwa Grupy Wyszehradzkiej (Polskę, Węgry i Czechosłowację, a później Czechy i Słowację) jako na podmiot gospodarczy wspomagany przez Zachód w skoordynowany i całościowy sposób. Taki silny podmiot nie był potrzebny Ameryce, o Zachodniej Europie nie mówiąc. I oto wizyta Donalda Trumpa w Polsce w 2017 roku stworzyła cień nadziei, że prezydent USA, zniechęcony kryzysem UE, spogląda na państwa rozciągnięte między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem jako na potencjalnie ważny podmiot gospodarczo-polityczny. Ale, jak to trafnie ocenił prof. Dadak („Idziemy” nr 2/2018 (640)), szanse na to są praktycznie zerowe. W grudniowym dokumencie Białego Domu o Trójmorzu nie ma ani słowa, a o naszej części Europy można znaleźć zaledwie kilka tyleż ciepłych co niezobowiązujących słów. Ale jest przynajmniej deklaracja amerykańskiej obecności na wschodniej flance NATO – pod warunkiem, że sami będziemy wystarczająco wzmacniać własne siły zbrojne. I przeto wydaje mi się, że nie jesteśmy zupełnie bez szans. Przed naszym państwem stoi ogromne wyzwanie – przekonania Ameryki, że warto i należy mocniej postawić na naszą część Europy. Wierzę, że nasze władze uczynią wszystko, by osiągnąć dla Polski maksimum tego co możliwe.